

Zbigniew Radosław Szymański

Jutro było lepiej

Gdynia 2015

Redakcja: Stefan Pastuszewski

© Copyright by Zbigniew Radosław Szymański

Wydanie I, Bydgoszcz 2015
Instytut Wydawniczy „Świadectwo”
85-010 Bydgoszcz, ul. Dworcowa 62/1
tel. 52 321-33-71
e-mail: akant24@wp.pl

ISBN:

„Polska nigdy nie jest większa, niż mój gniew na nią”

(Andrzej Babiński)



przed jutrem

opatrz mi nocy pogryzione palce
com je poranił drżąc z trwogi przed jutrem

zamknij powieki tym co padli w walce
pamięć o wczoraj okryj zimnym płótnem

a gdy już skończysz żałobne ablucje
i kołacz nocy dotoczysz do świtu

oddal od dzisiaj wszelkie rewolucje
trwogi przed jutrem nie tłum kneblem krzyku

* * *

Już się budzi, wychodzi z swych nor.
Prawie tydzień niczego nie jadła,
Lepka, brudna jak po strzale w skroń,
Szczurza, podstępna, swojska pogarda.

Już spuchnięta od obłudy twarz,
Robi wodę nam z mózgu na wizji.
Bym w stuporze bezmyślnie trwał,
Dławi gardło hiena hipokryzji.

Markietanka historia już zbiera,
Truchło z pól, zabitego państwa.
Spod spódniczki jej kusej wyziera,
To, o czym piszą poeci łgarstwa.

Krzyk się niesie przez światłe salony,
Błyszczą złota, srebrzą lisie futra.
Nadziei ledwie co narodzony,
Ślepy szczeniak nie dożyje jutra.

Już się budzą, wychodzą z swych nor,
Solidarnie wraca zawiść swojska.
W pianie Jeźdźców Apokalipsy koń,
Nagi zewłok w pyle ciągnie- to Polska.

Trwa exodus powszechny robactwa
Z nor- żerować na truchle państwa.

17.04.2010

dobroczynność

prosili o chleb
dostali kamienie
dobroczynność im cięższa
tym jest bardziej w cenie

nieznośna lekkość bytu
prosili o kamień
nikt nie ceni syzyfów
żyj frajerze dalej

każdemu według potrzeb
lecz twoje potrzeby
ustalą możni świata
on nie jest dla biednych

* * *

Maciejowi Garsteckiemu

Zadzwoń do mnie moja ojczyzno
albo chociaż napisz.
Wszak wiem, że stać cię jedynie
na krótkie esemesy.
Nigdy nie byłaś bogata,
cały twój majątek
to my, twoje dzieci
i ten płachetek świata
od Odry po kresy.
Nie żegnałaś mnie czule,
na Dworcu Gdańskim,
był tylko smutek przyjaciół
i drwina twych tajemnych służb.
Ja wiem, tak być musiało,
rozumiem twój ból.
Patrzac na mapę widzę
twe krwawiące serce,
tu w środku Europy,
rozdarte na pół.
Lecz mimo tylu zawałów
ono nadal bije,
z pokorą przyjmując na siebie
barbarzyński sztylet.
Wciąż zwiesz mnie swoim synem,
mimo lat rozłąki, wierzysz,
że kiedyś tu wróce-
ja twój wierny syn.
Lecz ja wiem, że nie będzie
to powrót triumfalny
i jeśli wróce to jako

syn twój marnotrawny.
Jeśli więc wybaczysz
mi kiedyś swą zdradę,
zadzwoń do mnie moja ojczyzno,
zadzwoń- choćby dziś.

Don Kichot

Jarosławowi Kaczyńskiemu

Ziemią jałową, ziemią obcą,
Don Kichot na swej szkapie kroczy.
Już nie chce walczyć z wiatrakami,
Głowę pochylił, zamknął oczy.

Lecz zewsząd słyszy: *Walczyć musisz!*
Tłum żądny krwi cele wyznacza.
I wciąż wiatraki przed nim stawia
Sługa sumienie – Sancho Pancha.

06.2010

Szechina

Żonie Małgorzacie

Gdzieś między reszką oraz orłem
mój kraj- w nim życie pędzę znojne.

Raz się z reszką do snu układam
licząc, że sięgnę do gniazd orlich.
To zamęt orlim wzrokiem badam
w schizofrenicznej paranoi.

Tak dzieląc świat na lewą, prawą,
stronę przedwiecznej niegdyś jedni
wierzę, że Trójca świat ocali,
mój po-Byt uwzniośli powszedni.

Lecz, gdy z zakupów żono wracasz
z siatkami wszelkich dóbr pełnymi,
w Trójcy znajduję czwarty wymiar:
Bóg-Głowa ma szyję- Szechinę.

Choć Trójca godzić ma sprzeczności,
Szechina stroi szczegół, tło.
To dzięki niej nie muszę pościć,
i pobyt tu wciąż byt- nie po.

Antyfona do wypchanego ptaka

Już nie odleciś wypchany ptaku
do ciepłych krajów.
Twe syte wnętrze, głodne robaki
już wyżerają.

Już nie obudzisz swym tęsknym trelem
do życia wiosny.
W twym martwym dziobie na zawsze zamilkł
jej śpiew radosny.

Nie będziesz stroszył w tańcu godowym
piór dla samicy.
I zakochanych swym płasem w parku
już nie zachwycisz.

Lecz choć na niebie nikt cię nie spotka,
żadną to zmianą,
bo świat od dawna jest już atrapą,
śmiercią wypchaną.

Jutro było lepiej

Jutra fatamorgana przy nadziei trzyma,
To przed nią klęczymy modląc się w kościele.
Na ścianie celi więzień cienie życia ściga,
Ich sąsiedztwo pozwala znosić kary brzemię.

Dzieckiem- fajerkę toczę po bruku podwórka,
Że dotoczę do celu już niedługo- wierząc.
Puszczam latawce wolno, poza długość sznurka,
Pozwalając marzeniom odbyć podróż pierwszą.

Później będą następne. Ile?- nikt nie zliczy.
Nie raz przyjdzie o pomoc poprosić w potrzebie.
Utajnionych podróży tej dociekać przyczyn
Nie muszę. Cel jest ważny- Jutro będzie lepiej.

To jutro już tak blisko. Wciąż w zasięgu ręki.
Promień słońca po którym nadzieja powraca.
Bierzmy co daje chwila, lecz po przyszłe bieżmy.
Wizja lepszego jutra czas czekania skraca.

Dziś już wiem, że to jutro, co wciąż obok żyło
Zawsze lepsze i śmigłe jak koń dziki w stepie,
Jest tylko marzeń moich minioną maligną.
Tęsknotą za wczoraj, kiedy:jutro było lepiej.

Bilans

Na mojej ulicy coraz więcej banków
A u mnie posucha - liczę życia manko.

Lecz jak mam policzyć coś czego już nie ma?
Netto, brutto, tara - jak to nic wycenić?

Jednym to wystarczy, dla ciebie zbyt mało.
Chcesz netto? Weź brutto minus tara- ciało.

Nim windykatorzy z banków mnie stąd ruszą
Może przehandluję ciało razem z duszą?

Jako lichwiarz kupisz, boś niemały spryciarz,
w zamian dasz mi wieczność, ten czek bez pokrycia.

Lub mi Święte Księgi podsuniesz usłużnie,
Twierdząc, że to twoje są papiery dłużne.

Brutto nie ochronię. Tara krucha, - wiem to.
Zostaw mi na bonus chociaż duszę- netto.

Na mojej ulicy coraz więcej banków,
Robię bilans zanim odetną mi światło.

Orzeł czy reszka

Złudą wolności jest lot ptaka.
Niewolną lotów tych przyczyna,
gdy ledwie gniazdo skończy splatać,
już ląd daleki jego wzywa.

W ciągłej wędrówce za ocean
determinizmem swego losu,
życie wolność w piekło zamienia
trudem nieustannego lotu.

A ja tam wolę mą niewolę,
złamanym skrzydłem ziemię orzę.
Wolnością dla mnie myśl: W bilonie,
reszka warta więcej niż orzeł.

Chochola ojczyzna

Miałaś być mi ojczyzną a jesteś chochołem,
Zdobiącym Europy gnój rodzące pole.

Tam, gdzie stać miały dla nas twoje szklane domy,
Sterczysz suchą pałubą wymłóconej słomy.

Ptacy stąd emigrują nie znajdując ziarna,
Orzeł piór już nie stroszy, dziób zwiesił i zmarniał.

A ta, co znów po latach na głowie korona,
Nie wolnych królów, ale udręką cierniowa.

Do serca pod pałubą suchą tulisz chama,
Mnie, któregoś głupotą dawno już sprzedana.

Wciąż wierzysz, że róg złoty jeszcze nam odnajdę
I z letargu powstawszy znów na larum zadmę.

Miałaś być mi ojczyzną a jesteś chochołem.
Słomą z butów chama przy okrągłym stole.

Do Donalda Tuska

Wyzwolić Polskę z Polski, to Twoje zadanie.
Czas zdjąć ze sznurów nasze narodowe pranie.

*Polska to nienormalność**- to przydrożne krzyże,
Wierzby płaczą, a w polu dzięcielina pała,
I wolność- każdy swoją poprzez szybę liże,
Zadowolony, że nam na tyle pozwalasz.

Tu normalnością szydzić z tego co nie kradnie,
Lecz za grosze pracuje, byś obrastał w sadło,
Wiedząc, że Cię nie sięgną tu skrupuły żadne,
Boś już dawno się wypiął na nie stroną zadnią.

Zrozumiałeś, że Polski już od dawna nie ma
Więc i po cóż się trzymać chocholej pałuby,
Gdy ta, w której nam przyjdzie złożyć kości- ziemia,
Dawno już w obcych rękach, oddana za długi.

Im mniej procent jest Polski w Polsce, tym jest
zdrowiej,
Więc uzupełniasz masę brukselskim ersatzem.
Czekając, kto ci *danke*, kto *spasiba* powie,
Rozbierasz- cośmy wznieśli - przed wrogami szańce.

Wyprzedajesz pamiątki po tych co wierzyli,
Że biel z czerwienią musi zawsze się przeplatać.
Z tymi, co nad ich trupem cynicznie szydzili,
Przy okrągłym zasiadasz stole, by się bratać.

Nam, którzy nie mieliśmy oddać ni guzika
Na pamiątkę zostawiasz ten guzik z pętelką.
Sam do europejskiego siadając stolika
Myślisz, jak polski bigos zastąpić brukselką.

I perorujesz jak tę polską nienormalność
Zaprząc w karby systemu: *róbta se co chceta*,
I jak wzmocnić tę zimną i plugawą narośl,
By zdusiła żar, którym płoną nasze święta.

Lecz lawa nie wystygła, narodowe pranie,
Wciąż jeszcze nie wyżęte. Wykaż więcej troski,
By te co się podjąłeś dokończyć zadanie
I wyzwolić Polaków oraz Polskę z Polski.

* *Fragment expose premiera D. Tuska*

Biały Karzeł

Wracają nasze, rodaków rozmowy:
Kto komu, ile, kto jest winien klęski.
Znów przed ołtarzem życie nasze klęczy,
Choć Bóg zmęczony zawracaniem głowy.

Znów ten sam magiel rodzimych przekupek,
Kto komu, ile razy dawał dupy,
I plany jakby jeszcze pozostały,
Grube godziny nie chude minuty.

Znowu na stole niedopita wódka
I my pod stołem złożeni pokotem,
Naiwnie wierząc, że jeszcze zdążymy,
Wypić, co Bóg nam przechowa na potem.

Wracają mary, tych co nas zgubili.
Sznur, co się ostał układając w pętlę,
By na jarmarkach za marne srebrniki,
Głowy w nią wkładać usłużnie i chętnie.

Wracają nasze stopy Europy,
Po których Polak depcze- wieczny pielgrzym,
Szlifując bruki strudzonymi stopy,
Naiwnie wierząc, że warto wciąż wierzyć.

Wracają nasze... Lecz my nie wracamy,
Bo nasze miejsce nikt już nie wie gdzie jest,
Gdy my w tym świecie już tylko omamem,
Jak Biały Karzeł naszych stygnących serc.

Eksodus

pierwsze wyszły łyżeczki
nie na raz- po cichu
jedna za drugą latami
aż poza horyzont
widelce się broniły
stawały okoniem
lecz i one już drugą
stronę stołu gryzą
noże trochę ślizgały się
po szklanej tafli
choć już uszu nie gwałcę
ich żalonym wizgiem
potem poszły ubrania
na koniec ostatni
wyszedłem gasząc światło
sam ich tropem idę

i tylko ubłocone
mym krajem okrutnym
zostały pilnować domu
w jego progu buty

Gruzy

Żyjemy pod gruzami
tych, którym świat się zawalił,
i chociaż to nie nasz świat,
gruzy więżą jednako.

Czczymy bogów ich świętami,
każdy z nas świeczki pali.
Z ustami pełnymi ich prawd,
kłamstwem zdobionych nierzadko.

Z ruin budując w ruiny
zmieniamy nasze miasta.
Z martwych wskrzeszeni- ich syny-
których czas minął nim nastał.

Żyjemy pod gruzami
tych, którym świat się zawalił.
Czczyciele klęsk wciąż tych samych,
nim narodzeni, już zmarli.

Sed omnis una manet nox

(Horacy, Ody I,28)

Pamięci Zbigniewa Żakiewicza

dla wszystkich z nas ta sama noc
lecz dzień nam niejednaki
jednemu wiśnią kwitnie gdy
innemu wzlata szpakiem

dla wszystkich z nas tej drogi kres
lecz droga niejednaka
jednemu jest rozbitym szkłem
drugiemu gładki asfalt

lecz czy po nocy przyjdzie dzień
zza kresu nową drogę
dojrzę- wiśnia mi ani szpak
nic o tym nie opowie

Ty Przyjacielu już to wiesz
jak sroga Prozerpina
czy pozostanie po nas wiersz
czy pełna ciszy drwina

Apteka

Tabletka na język, ratunek dla serca,
Odtrutka na życie, kilka wersów wiersza.
Choć życie śmiertelna choroba przewlekła,
Ratunkiem w cierpieniu tych kilka gram piękna.

Tabletka na język, ratunek dla duszy,
Nim boski aptekarz w mózdzierzu ją skruszy
I z piekła pomocnik ogonem zamiesza,
Ja życie swe oddam za tabletkę wiersza.

Atlas

To było zbyt poważne na tak krótkie życie:
Jak dźwignąć na skarłałym je grzbiecie Atlasa?
Więc wolałem to stłamsić, żyć rzeczpospolicie,
Jeść, pić, kraść, kopulować i popuszczać pasa.

Twoje plecy historio oglądałem zawsze
Z myślą nieobyczajną w tłusty zad wpatrzony,
Dbając, by w Lewiatana nie wpaść twoją paszczę,
raczej stek z Lewiatana zjeść bywałem skory.

Ty historio wciąż w przodzie. Kluczysz, drogi
szukasz,
Rozpalasz żagwie wojen, świat twym ogniem płonie.
Dla mnie to zbyt poważna, zbyt trudna nauka,
Ja tylko, by poklepać cię po zadzie gonię.

Rzeczpospolitą brzucha wybrałem i lędźwi,
Biegnę za twoim tropem, tak by nie dogonić.
Ty na krawędź przepaści niczym leming pędzisz,
Ja mych rzeczpospolitych nie porzucam błoni.

Choć pospolitość skrzeczy, ja nią duszę sycę.
Wolę blichtr, niż przepaści powierzyć swe życie.

biało- czerwona

czasem jesteś czerwona łunami pożarów
krwią którą broczy ziemia- najświętszy z ołtarzy

dziewką co ust karminem znaczy trakt do raju
purpurowy aksamit róży naszych marzeń

bywasz biała jak flaga naszego poddania
sympatycznym wpisana w dzieje atramentem

kartką dzięki cenzurze co niezapisana
białą hostia tego co dla nas jest święte

czasem jesteś czerwona innym razem biała
raz zgorzel a za chwilę mróz Syberii po niej

lecz wciąż nie ma cię takiej żebyś złączyć chciała
czerwień z bielą- wciąż nie ma cię biało czerwonej

Na 25- lecie odzyskania „wolności”

Zdjęto z płyty nagrobnej hartowane kłódki,
lecz jak zmurszałe członki mają unieść kamień?
Ćwierć wieku dla szkieletu okres nazbyt krótki,
by się w ciało oblec, siłę w mięśniach znaleźć.

Tkwię więc w czarnej otchłani przez pęknięcia w
płytcie
cienie na ekranie ściany przyjmując za życie
i bojąc, że gdy wyjdę wreszcie w grobu wnętrza,
taki sam znajdę wokół marzeń moich cmentarz.

Historia

Już mnie więcej historio w podróż nie zabierzesz.
Nie popędzisz przez pola zbrojną tyralierą.
Niech odtąd zawsze puste stoją twoje twierdze,
Bądź mi jak ząb mądrości, całkiem niepotrzebną.

Kto ciebie nie ma ponoć traci swą tożsamość,
Lecz jak właściwy kolor znać kameleona,
Gdy mamisz pstrokacizną? Ja wybieram szarość,
Nad biel dziewiczą flagi czerwienią zgwałconą.

Ty, coś wszystkie zaułki w lupanarze świata
Poznała, za pieniądze sprzedając swe wdzięki,
Jako żona i matka niewiele żeś warta.
Za dużo dziwko żądasz za numerek prędkości.

Już się więcej historio z tobą nie zabiorę.
Zejdę z drogi po której ty się kołem toczysz
Miażdżąc wszystko co spotkasz. Każde w swoją stronę
pójdziemy- już nie zwabią mnie twe piękne oczy.

Niechaj na zawsze puste zostaną twe twierdze,
Jutrzenki blask nie dla ciebie- niech dla ludzi wszędzie!

Mimikra

zwierz we mnie czasem się budzi
wtedy łagodnieję
lgnę do was jak do ludzi
przebiegam miejskie knieje

i nad zbrodniczy rozum
instykt zdrowy przedkładam
lecz już za chwilę mrozi
zapał mój wasza zdrada

gdy ja do rąk się łaszę
i pieszczot pragnąc mruczę
wasz bat mnie świstem straszy
już ładujecie sztucer...

nie czekam aż zabijecie
we mnie potulne zwierzę
przybieram pozy człowiecze
i z wami na łowy bieję

a potem długo leżymy
w tej samej zamknięci klatce
i naiwnie wierzymy
że to nasz świat – nie karcer

Manowce wiersza

Jak dobrze wiersz przeczytać kiedy zawierucha
w sercu i na gościńcu, którym iść mi przyszło.
Zmarzlina lodu płonie ogniem niczym krucha
pałuba z której życie dawno wszelkie wyszło.
I powoli świat kryją nowych pędów żądze,
zwierz wszelki ze snu wstaje i kiel w wiosnę wbija.
Tak nam to opisałeś poeto, że mądrzej,
nigdy dla nas nie załśni żadna wzniosła chwila.

Lecz póki co kominek złotym kwieciem płonie
i zaprasza na ucztę strudzonych wędrowców.
Czekamy, żeby wiosna wreszcie ku nam przyszła,
błądząc wśród bierwion wierszy- tych cudnych
manowców.

Nad morzem Ikaryjskim

Marny ptak z ciebie Ikarze
skoro nie splotłeś gniazda
za złudą lecąc marzeń,
gdzie gorejąca gwiazda.

Zbyt wybujałe ambicje
głębiny morza pochłoną,
zwyciężą ci, co wolą małość,
gniazda budując i chroniąc.

O tych zaś co lepią z wosku
swoją niepewną przyszłość
tylko poeci z troską
w swych wierszach się zamyślą.

Pompeje

Każdy twój oddech to jest śmierci wiatr,
Co chmur skłębione rozwiewa złudzenia.
Każda śmierć losem, co w loterii padł,
Wygraną, której nie chce nikt odebrać.

Każdy twój sen, mego snu zaraniem,
Schronem, co kryje nas przed śmierci wiatrem,
Nim dzień promieniem w odrzwiach snu powstanie
I na żywiołu znów nas wyda pastwę.

Każda twa nagość ,to jest chwili trwanie
Lawą zastygłą - wiatr jej nie rozwieje
Pyłem na naszej miłości rozstaje-
Wiarą, że zbudzą się senne Pompeje.

Tyle nas miła na wieki zostanie:
Szczęk łańcucha, przed domem napis: *Cave canem.*

Zawsze po albo przed

W świecie jest zawsze po albo przed wojną
I tylko u nas wojna permanentna.
Nie w krwi, tę dawno z Polaków spuszczoneo,
W pomówień toną, ranni ekskrementach.

W świecie beztroską przyszłość się buduje,
Ofiary dawno skrył pamięci marmur.
U nas pomniki okupują szuje,
Ty bohaterze płąć- nie ma nic darmo.

Świat wie jak kruchą jest chwilowa wolność,
Lecz żyje żadnych nie budując szańców.
My niczym chochoł szeleścimy słomą.
Jankiel przygrywa, my w chocholim tańcu.

Świat święta święci, serc przywdziewa strojność.
My dzień powszedni zamieniamy w święta.
Wciąż się o obcych modlimy spokojność,
Chociaż brat brata kajdanami pęta.

W świecie jest zawsze po albo przed wojną
I tylko u nas wojna permanentna.
Polskość się jawi nam marą upiorną
O której grobach nie chce nikt pamiętać.

W świecie jest zawsze... lecz czemu nie u nas?
Pęknięta milczy jankielowa struna.

Mucha

W twą pajęczynę uwikłany
cierpliwie czekam dnia wyroku.
Lepką nicią z Tobą związany
nie zazdroszczę lotu obłokom.

Znam miejsce w kącie pajęczyny,
nie wierzgam przeciw ościeniowi,
los niepokornych, co walczyli
mój opór lodem strachu mrowi.

Ciesz mi każda Twoja zdobycz,
myśl, że nie jestem tu wyjątkiem
i otumania wiary słodycz,
że z muchy stanę się pająkiem.

Na śmierć niewinnych

Nie nauczyliśmy ich umierać,
nie powiedzieliśmy jak przebiec
na drugą stronę ulicy.
Zabłąkana kula wybiera
tych, do których uparcie milczysz.

Chcesz nas trafić marnym będąc snajperem.
Wiesz o tym, więc się mścisz na niewinnych,
płacząc drogi w bagienny oczeret.
Wobec nas jesteś nadal bezsilny.

Nie nauczyliśmy ich kochać,
zbyt młodych, żeby to co skrycie,
nosili w sercu jak my naszą rozpacz,
mogło żyć długim, szczęśliwym życiem.

Nie nauczyliśmy się jak ich bronić,
przed ciosami, które chciałeś nam zadać.
Widząc kruki nad nami i wrony,
nie ochroniliśmy naszego stada.

Dzisiaj Ty będziesz za nich umierał,
kulą naszej pogardy zabity.
Wici wojny, które wiersz ten zawiera
rozpłomienią bluźnierstwa ogniki.

Im niewinnym, znicz serc naszych zostanie-
Tobie wieczne w nas umieranie.

Gra w Piotrusia

Tyle minęło, niewiele zostało.
Sopran dzieciństwa stwardniał w męski bas,
lecz wciąż w Piotrusia gram, wciąż jest mi mało,
nie mówię pas.

Jak mam rozwiązać to szkolne zadanie,
gdy niewiadomych wciąż się kłębi trzos?
Czy na rok drugi powtarzać zostanę,
uczniowski los?

Wciąż gram w Piotrusia póki idzie karta.
Gra- nie wygrana- jest w życiu coś warta.

Objazdowe kino

Zbyteczny pośpiech. Tu nic się nie zdarzy
Ponad filmową, hollywoodzką miłość.
Nic, czego więcej od naiwnych marzeń,
Które wyświetla objazdowe kino.

Stoję po bilet. Seans już się zaczął.
Widzowie salę zapełniają kina.
Klatka za klatką dni nasze się toczą,
Zabawnym krokiem Charliego Chaplina.

Kwiaty

To jest małe miasteczko, kilka ulic na krzyż,
kościół, rynek, przy rynku siedziba powiatu.
Lud zawsze bogobojny, w Krzyż i w Boga wierzy,
Przed kościołem rabatki kolorowych bratków.

Na budynku Policji wciąż wisi tablica
Z nazwiskami zabitych niegdyś milicjantów,
I chociaż nikt pamięcią ich już nie zaszczyca,
Zawsze obok tablicy znajdziesz flakon kwiatów.

W tym budynku więziono niegdyś bohatera,
Który na milicjantach tych wykonał wyrok.
Zrobiono zeń zbrodniarza-przyszła nowa era,
On bohaterem- ofiary, zapomnienie skryło.

I tylko kwiaty służą jak cierpliwe kurwy,
Raz bohaterom innym zaś razem zbrodniarzom.
Kto jest kto? – Kwiecie proszę - czym prędzej to mów mi:
Z przyjemnością was wąchać mam, czy też z odrazą?

Wiek mara

Jeszcze charczy, pluje krwią, gubi trzewia,
odwiedzamy go sadząc kwiaty, paląc znicze.
Chociaż modlitwy naszej on nie wart
żegnamy go kadiszem.

Jeszcze dymi piecami krematoriów,
rdza krwi szafot globu ziemskiego zżera.
Pod klepsydrą nazwał to sanatorium,
ten, co ziarna czasu w słowa ubierał.

Jeszcze dławi jak komora gazowa,
gdy kula ziemską nagle przyśpiesza.
Niczym cyklon duszą nieme słowa,
których cmentarz w poety wierszach.

Dół pamięci czas zasypać wapnem
i betonem zalać wieków przyszłych.
Jeszcze tylko w ścianie płaczu zatknię
prośbę, by wiek ten nam się nigdy nie przyśnił.

Niech nas mamią jawy błyskotki tanie,
zapomnijmy ten wiek i sen.

Na wieki wieków, Amen!

Pieśń nowej ery

Gdy skowyt matek pierwszą pieśnią
zaczynającej żywot ery,
to czego można oczekiwać,
nim czas jej wreszcie się wypełni?

Krwawa posoka niewiniątek
zabitych z rozkazu Heroda
plami wieczorem szaty Boga,
gwiazdami noc bezsilna szłocha.

Co Herod zaczął, w Srebrenicy
nie wzbudza w nikim już zdziwienia.
Zmieniamy kanał w telewizji,
erę zakończy pieśń milczenia.

A nowa? Nowej już nie będzie,
milczący wznieśmy chorał bólu.
Pieśnią, co nas do mordu wiedzie,
ciszą obojętnego tłumu.

Druga strona góry

Po drugiej stronie góry żyje ślepy człowiek.
Oślepił wierząc w granicie krecie korytarze.
Jak jest po drugiej stronie już nam nie opowie,
Ślepy- nie znajdzie żadnych godnych pióra zdarzeń.

Po drugiej stronie góry żyje niemy człowiek.
Szczyt zdobył,- głos mu uwiązał z przerażenia w gardle.
Niemy tego co widział też nam nie opowie,
Bo najlepiej tej prawdy nie poznawać wcale.

Po drugiej stronie góry ślepy, niemy człowiek,
Zmilczał czego nie widzi, bo nie chce nas martwić.
Może ktoś z nas tam dotrze, sam o tym się dowie
Co by o zawał serca mogło nas przyprawić;

Że ta wyśniona strona, to jest żart ponury.
Nasza strona jest właśnie drugą stroną góry.

Po udarze

Henrykowi Pancewiczowi

Jak opowiedzieć ciszę,
gdy wszystkie zgłoski szeleszczą?
Słowem tego nie opiszę,
co słowa w sobie mieszczą.

Jak opowiedzieć śpiew ptaka,
gdy słowo skrzydłem złamanym
i każda zgłoska jak Itaka-
lądem nieosiągalnym?

Jak opowiedzieć opowieść,
co się mgłą poranną snuje?
Czy wystarczy sił by dowieść:
jest słowem – to - czego brakuje?

Nocny stres

Noc i ten ponury spadek po dniu:
Cztery gwałty-sprawcy nie ujęci.
Auto jak stempel odcisnięte w pniu.
Ktoś urodzony a ktoś wniebowzięty.

Kogoś nie dowiózł wykolejony
Czas- mazut godzin spod tłoków kapie.
Znów popołudnia długie androny
I wieczór spazmem orgazmu sapie.

Jak noc ma wszystko to poukładać,
Gdy rozum zasnął, wstały upiory
I w sen się jawy zakradła blaga
Dupcząc opasły zadek historii?

Oktostych nie do końca zwycięski

Jak Ty mi, tak ja Tobie, a nawet z nawiązką.
Tyś mi krwią, ciałem w hostii, ja ci sobą- Polsko.
Gdy wieczór biel gryki krwawą jatką plami,
Ty za mnie, ja za Ciebie, zgodnie umieramy.

Z nadzieją, że oparem z rannej rosy wstanę,
wreszcie zwycięskie z Tobą zamierzam powstanie.
Lecz zwycięstwa nie było tu nigdy i nie ma,
udaje się nam tylko zejście do podziemia.

Smak zupy

Tu po staremu - nic się nie zmieniło;
życia tak nie ma, jak nie było.

Wciąż łzami kobiet przesoloną
zupą smakuje nasza wolność.

Los się nie spala, ledwie żarzy-
życiem się tutaj nie zarazisz.

W nicość wlepiają oczy sarnie,
bezwolne kukły... solidarnie.

Procesja gdyńska

Coraz mi bardziej- miasto- pustoszejesz
i wciąż chłodniejsze są z Tobą poranki.
Gdy sopel nocy topi się i dnieje
chmur rozsuwając podartą firankę,
widać spękany asfalt moich ulic,
po których cienie snują się przyjaciół.
Biegnę wraz z nimi- ja uliczny żulik,
unosząc zwiędły bukiet dzieci-kwiatów.

Różę doniosłem do późnej starości,
cierniem się wbiła w moje chore serce.
Bratek unosi głowę do nicości-
zwiędłego noszę w zwiędłej butonierce.
Zakwitły piwne na krótko piwonie,
dziś po nich tylko biała piana Styksu.
Zawilce wiją swój zawiły koniec,
został mi po nich stos pożółkłych listów.

Znów razem gnamy przez ulice miasta
w psychodelicznych rozpryskach neonów.
Znów Świętojańska dla nas jest za ciasna,
rusza procesja naszych dawnych domów:
wieżowce, bloki, nędzne sutereny,
w klatkach schodowych miłosne zdziwienia...
Oddaj je miasto, to nasze tereny!
Liszajem tynków łuszczą się wspomnienia.

Powoli miasto stajesz się swym cieniem.
My- rozsypane, zasuszone płatki.
Wiatr je pod nogi tych, co po nas, ściele.
My z Tobą miasto w procesji ostatniej.

Coraz mi bardziej miasto pustoszejesz.
W mgłę rozpływają się przyjaciół cienie.

Gdyńska Droga Krzyżowa 2011

Kobiety, których nie stać na wieniec żałobny,
mężczyźni z których uszła fantazja ułańska,
dzisiaj w Drodze Krzyżowej idą Świętojańską.
Brudnym tynkiem szarzeją wokół domów groby.

To Via Dolorosa dla klientów banków,
co tłumnie obsiadły kamienne pobocza.
Tu matka z dzieckiem klęczy prosząc choćby grosza,
kwitną ci, którym życie nie skąpiło grantów.

Stoczniowcy żołądkowe gorzkie żale wznoszą
w bramach za swoją przyszłość rozpiętą na krzyżu.
Żony martwy płód marzeń martwym miastem niosą,
Neony zimnym blaskiem z tej Golgoty szydzą.

Gdynia krzyczy, przybita do krzyża przez drani.
Krzyczymy z nią: *Eli, Eli, lema sabachtani!*.

Dom pogodnej młodości

Patrzą już bez zdziwienia, bo wszystko widzieli.
Tak stawianie pomników jak ich obalenie.
Życia codzienność, aby dotrzeć do niedzieli
I niedzieli święcenie w wódkach wypijanych.

Śpiewali pieśń sukcesu, milczenie porażek.
Nie oddali z munduru żadnego guzika.
Kobiety przyjmowały w siebie armie wrażeń.
Nikt życia, gdy mijało o drogę nie pytał.

Patrzą już bez zdziwienia. Siwy dym ich oczu
Snuje się nad domami zmienionymi w gruzy.
Otwartą raną serca jeszcze życie broczy
Choć chirurg po nie sięga, innemu ma służyć.

I tak nie wiedząc w czyim przyjdzie żyć im życiu
Wchodzą w siebie jak w pomnik. Zastygają w marmur,
By na zawsze młodością wśród nas móc się szczycić
I cieszyć swą wolnością na zawsze bezkarną.

Patrzą już bez zdziwienia. Dal snu oswojona.
Do nóg się łąsi skomląc o kasek puenty.
Noc dzień kołysze tuląc go w ramionach,
Puentą będzie ranek – niekoniecznie piękny.

Starzy już od narodzin, bo wszystko widzieli
Objęci idą parkiem, by karmić wiewiórki.
Dom pogodnej młodości już do snu im ścieli.
Czas młodości pospłacać za starość rachunki.

Nie bądź mi Opatrzności...

Nie bądź mi Opatrzności
zawsze opacznością.
Piaskiem w oczy w wędrówce
i kamieniem w bucie.
Nie bądź skrótem przez życie,
by nie trwało krócej,
nim zdążę posmakować
wszystkich jego uciech.

Nie bądź wiatrem historii,
który w twarz wciąż wieje,
lecz tchnieniem uskrzydlając
iść pozwalaj śmielej.

Nie bądź koniem trojańskim,
bądź lotnym Pegazem,
bym uskrzydłony minął
życia armie wraże.

Nie bądź deszczem co pada,
kiedy na mnie plują
i nie każ karku schylać
przed sprzedajną szują.

Nie każ jechać za chlebem,
gdzieś daleko w gości,
lecz się pozwól z innymi
dzielić chlebem postnym.

Nie bądź mi Opatrzności
zawsze opacznością,
nie każ błędów powtarzać,
do sądnego dnia.
Niech już raczej zostanę,
bielejącą kością,
bym pośród pól bitewnych,
ku przestrodze trwał.

Ukrzyżowani

Winowajca nie zadośćuczyni,
Zdrajca się nie ukorzy.
Zdradzeni o świcie milczymy,
W pogardzie masz nas Boże.

Już taka Twoja przewrotność;
Krzyż ofiar swych nie lubi.
Draniom łask wielokrotność
I...Złoty Krzyż Zasługi.

Winowajca nie zadośćuczyni,
Zdrajca się nie ukorzy,
Na krzyżu, którym kata wieńczymy
Mrze splugawiony orzeł.

Rozstanie

To wszystko po to żeby zatrzeć tropy.
Ulica skręca w przeciwnym kierunku,
Jak perłę więzi mnie perłopław domu,
Blaknie w dowodzie pieczętka meldunku.

Czas mnie z pamięci twojej resetuje,
zaspy pościeli efekt cieplarniany
topi i rzekę ku morzu kieruje,
Gdzie mnie ocenią władcy oceanów.

Nieprzypadkowy czuwa brak przypadku.
W „co” ubożeje moje „kto” - mianownik.
Wyklęta deklinacja mojej nacji,
Siedmiu przypadkom posłuszny niewolnik.

Jak czarna dziura wsysam siebie w nicłość.
Dom się kurczowo trzyma parapetu
Twojej pamięci. Szum kosmiczny słyhać,
Już sfer muzyką ja na wieki wieków.

To po to żeby łatwiej znieść rozstanie,
W pętli ulicy kark pamięci trzaśnie.
Tak miła trzeba, łatwiej będzie przeżyć,
Wreszcie beze mnie przy mym boku zaśniesz.

Grób nieznanego

żołnierz nieznany
wojna nieznana
i tylko rana
wielka jak dramat

ciało umyją
twarz upudrują
w betonie skryją
w spżu zakują

tylko poeta
spyta od święta
czy przed nieznanym
należy klękać

prośba o godny pochówek

chciałby w lakierkach a tu ciężkie buty
z wroga ściągnięte co go w lesie zabił

w surducie chciałby lecz surdut popruty
od noża który w serce wroga wraził

chciałby w cylindrze lecz hełm tylko został
co gołą czaszkę wroga w sobie skrywa

chciałby... lecz tutaj każda prośba postna
nagiego także przyjmie ziemia żywa

Sonet J-23

I jak cię jabłko sonetem opisać?
Pókiś na drzewie, pięknie czerwieniejesz,
Lecz kiedy jesień w trawę ciebie sieje,
Newton teorię ciężenia wymyśla.

A sonet ciąży ku formom tak trwałym,
Jak grzech Adama czy kuszenie Ewy,
I nie dla niego żywot twój tak zwiewny,
Czy też robaków praca w czas przejrzały.

Więc cię opiszę owocowym winem.
(Newton i sonet na tej sztuce zna się!)
Nastawię zacier i miesiąc nie minie,
Kiedy wesele urządzimy w sadzie.

Nim sonet śniegu grudniowy cię skryje,
Twym destylatem z pewnością nie wzgardzę.

Płyn Arko!

Płyn Arko! Gołębica wciąż jeszcze nie wraca.
I Twego portu nie wyrosła góra.
Po co nam w twardej ziemi, twarda, gorzka praca?
Jeszcze kapitan nie splótł nam na cumy sznura.

Mała stabilizacja w małym chwiejnym domu.
Małe sprawy odmierzam wielką serca miarką.
Wśród pasażerów zgoda- trwa siła spokoju.
W tym oceanie grozy, płyn bezpiecznie Arko!

Fizyka lotu Ikar

Tu Polska, tu zawsze Ikar;
tu klęska jest bohaterem.
Tu śmierć- nie ten co wytrwał;
tu trud Dedala zerem.

O chacie, który róg złoty
zgubił, tu mówią odświętnie,
a tego, który go ochronił
imię na zawsze wyklęte.

Tu trzeba wiersze pisać,
co klęski ocalają.
Zwycięstwo tu zawsze bliźną
po piórach wyrwanych Ikarom.

Tu Polska, tu zawsze Ikar,
poezja lotu- nie lotu fizyka.

Łąka

Imperium nim padnie ma swoje Bizancjum;
kąkole, kaczeńce, gorzki zapach rutki,
i chłód bazyliki pod miodną akacją
z chorałem wznoszonym przez robotne pszczołki.

Tańce feretronów w sanktuarium słońca,
aromat kadzidła pierwszego pokosu.
Dostatek, przesada, dzika orgia końca
w świergocie peanów na niezmiennosc losu.

A potem chłód nagły. Idą barbarzyńcy.
Co złotem kapalo obraca się w niwecz.
I cisza. Imperium nieświadome przyczyn
upada, lecz nowe po nim wkrótce przyjdzie.

Znów moralność stada i ten przerost formy.
W powielaniu błędów imperium nie spocznie.
Z innymi zagarniam łąki obszar spory
i z żukiem gnojarkiem kulę gnoju toczę.

Imperium nim padnie ma końca przednowek,
lecz w kole pór roku imperium trwa wiecznie.
Strażnicy tej wiedzy wznieśli kopiec mrówek,
w nim przetrwa co paść ma, by wrócić bezpiecznie.

Na łące chcesz przetrwać – szanuj prawa stada
i miodną hierarchię: kto zbiera, kto pije.
Jak mantrę powtarzaj, gdy plują, że pada.
Swe miejsce na łące odnajdziesz. Przeżyjesz.

Prośba dziewczyny zabitej szrapnelem

Żołnierzu nie bądź mi wrogiem
I oddaj serce moje,
Wyrwane szrapnelem który,
Wystrzeliłeś w moją stronę.

Tobie jest niepotrzebne,
Ja miałam je dla chłopaka,
Który ostrzem topora
Głowę tobie rozplątał.

Podajcie sobie ręce
I pójdźcie ze mną w tany,
Czas wojnę wreszcie skończyć
I zająć się kochaniem.

Wiersz pokutny

Nie kwiecień, grudzień miesiącem okrutnym,
Bo to co wywiódł kwiecień z trzewi ziemi
On krwawym ściegiem zszywa, w bruk popruty
Łuski nabojów sypie- tynk kamienic.

Nie kwiecień, grudzień miesiącem okrutnym,
Całe me życie bezsilnej pokuty.

Ruszyli. Płynie znów szara ulica,
Chociaż wykwintniej dzisiaj przyodziana.
Znów rykoszetu nagła błyskawica,
Niezabliźniona trotuaru rana
W niej pajda chleba ze smalcem- jak plastrem,
Zmiętej gazety otulona płaszczem.

Gdy dziś oglądam stoczniowych żurawi
Nosy jak wtedy spuszczone na kwintę,
Znów heroiczna bezsilność mnie dławi,
Wśród murów Gdyni przemykam się chyłkiem,
Zgłuszony echem salw karabinowych.
Zimną stal ranek przystawia do głowy.

Nie kwiecień, grudzień miesiącem okrutnym,
Ja wciąż do ulic Gdynio, Twych, przykuty.

Idą, wciąż idą, idą Świętojańską.
Znów „chodźcie z nami!” - krzyczą, butów stukot.
Na drzwiach Cię Gdynio niosą przeciw tankom,
By krew co roku zmywać z Twoich bruków,
Werblem zagłuszyć chcąc historii łgarstwo.

Została po nich kromki chleba perła.
Termos zbożowej gorzkiej z mlekiem kawy
I czerwień świtu, gdy nad stoczną wzbiera
I cisza, która wiersza gardło dławi.
Choć kryją blizny dziś szaty wykwintne,
Nosy żurawi spuszczone na kwintę.

Nie kwiecień, grudzień miesiącem okrutnym.
Ile lat jeszcze – pytam – tej pokuty?

Podczas kręcenia filmu „Czarny czwartek”.

Luty-marzec 2010

Aborcja

Spędzam życie jak niechciany płód,
pod znieczuleniem miejscowym.
Po polsku - czyli: *lej wroga w dziób!*
Wróg się broni, uderza do głowy.

To na jedną, to na drugą nogę:
Do dna!-łykam każdą z jego porcji.
Życiu, urodzić ciebie nie mogę,
brak siły, więc cię poddam aborcji.

Metafizyka szczekania

Jeszcze szczekam, choć coraz krótsza miara sznurka,
który mnie przy budzie tyle lat już trzyma.
Nie wystarczy, by spokój mieć uciszyć Burka,
rozsądniej zbadać szczekania, gdzie leży przyczyna.

Szczekam sobie a muzom, bom sam sobie panem,
i nie oczekuję, by mnie ktoś wysłuchał.
Kość suchą mi przynajmniej daj za to szczekanie,
choć gardzę nagrodami, to wzmacniają ducha.

Requiem

Uległym i tym co oporni,
jednaki los się wszystkim trafi:
requiem zagra uparty kornik
skrzypieniem pustej odtąd szafy.

Drzwi


Polskim ministrom spraw zagranicznych

Nie pchaj palców pomiędzy drzwi oraz framugę.
Drzwi z framugą przetrwają- palce niekoniecznie.
Lepiej naoliw zawiasy, dokręć luźną śrubę.
Z tak spasowanymi drzwiami żyć będziesz bezpieczniej.

Morał


Codzienna zmora:
noc i snu morał,
i świtu kac za karę...
Niewiele zrozumiałem.

Kolejny dzień banału.
A morał? – Brak morału.



Być może jestem szaleńcem,
co piane brzegiem ust sączy.
Nie pieroszym zresztą w kolejce,
których obłęd jednaczy.

Być może jestem tu goty,
by peszyć głupim pytaniami,
lecz wolać już być idiotą
niż koniunkturalnym draniem.



Spis treści

przed jutrem	5
*** (Już się budzi, ...)	6
dobroczynność	7
*** (Zadzwoń do mnie moja ojczyzno...)	8
Don Kichot	10
Szechina	11
Antyfona do wypchanego ptaka	12
Jutro było lepiej	13
Bilans	14
Orzeł czy reszka	15
Chochola ojczyzna	16
Do Donalda Tuska	17
Biały Karzeł	19
Eksodus	20
Gruzy	21
Sed omnis una manet nox	22
Apteka	23
Atlas	24
biało- czerwona	25
Na 25- lecie odzyskania „wolności”	26
Historia	27
Mimikra	28
Manowce wiersza	29
Nad morzem Ikaryjskim	30
Pompeje	31
Zawsze po albo przed	32
Mucha	33
Na śmierć niewinnych	34

Gra w Piotrusia	35
Objazdowe kino	36
Kwiaty	37
Wiek mara	38
Pieśń nowej ery	39
Druga strona góry	40
Po udarze	41
Nocny stres	42
Oktostych nie do końca zwycięski	43
Smak zupy	44
Procesja gdyńska	45
Gdyńska Droga Krzyżowa 2011	46
Dom pogodnej młodości	47
Nie bądź mi Opatrzności... ..	48
Ukrzyżowani	50
Rozstanie	51
Grób nieznanego	52
prośba o godny pochówek	53
Sonet J-23	54
Płyn Arko!	55
Fizyka lotu Ikara	56
Łąka	57
Prośba dziewczyny zabitej szrapnelem	58
Wiersz pokutny	59
Aborcja	61
Metafizyka szczekania	62
Requiem	63
Drzwi	64
Morał	65